



Św. Josemaría Escrivá

Założyciel Opus Dei

Wejście - Świadectwa - Wywiad z Rozalią López

Wywiad z Rozalią López

4.2.2010

Kiedy pracujesz, powiedz Mu coś miłego

Rozalia López mieszka w Rzymie od 1946 roku, dokąd przybyła w odpowiedzi na zaproszenie św. Josemaríi. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej, kiedy pracowała w administracji pierwszego akademika Dzieła w Bilbao, podjęła decyzję o wstąpieniu do Opus Dei. Od tamtej pory aż do chwili odejścia św. Josemaríi do nieba, 26 czerwca 1975 roku, Rozalia pracowała w siedzibie centralnej Opus Dei.

Jakie jest Pani ostatnie wspomnienie związane z Ojcem?

Widziałam go w dzień jego śmierci, podczas śniadania, przed wyjazdem do Villa de la Rose, w Castelgandolfo, gdzie miał spotkanie ze swoimi córkami ze wszystkich kontynentów. Ale to, co najbardziej utkwiło mi w pamięci, miało miejsce dzień wcześniej. Kiedy skończył śniadanie, przed wyjściem z jadalni, zwrócił się do mnie z podziękowaniem: „Dziękuję Ci bardzo, Rozalio, moja córko, że tak wspaniale się o nas troszczysz.” Zawsze był osobą pełną wdzięczności, ale wydawało mi się, że tego dnia powiedział to w *inny* sposób, jakby dziękując mi nie jedynie za pracę wykonaną w tamtej chwili. Bardzo się wzruszyłam, nie rozumiejąc dlaczego i powiedziałam o tym Blance Fontán, która była blisko mnie: „Ojciec podziękował mi w szczególny sposób.” Blanka nie przywiązała do tego większego znaczenia, ponieważ wiedziała, że łatwo ulegam emocjom. Następnego dnia, którego już ze mną nie rozmawiał, nasz Ojciec poszedł do nieba.

Tak wiele lat obok osoby, którą Jan Paweł II 6 października 2002 roku ogłosił świętym. Zdawała sobie Pani sprawę, że to był Boży człowiek?

Tak. Ojciec pociągał nas do Boga, z nim uczyliśmy się kochać Pana. Pamiętam, jak pewnego dnia wycierałam kurze, on podszedł do mnie i zapytał: „Córko moja, ile uczyniłaś już dzisiaj aktów miłości?” Na co odpowiedziałam mu: „Ojcze, a co to takiego?” A on wyjaśnił mi: „Popatrz! Ofiaruj Bogu, Naszemu Panu, to, czym właśnie się zajmujesz i w czasie tej pracy powiedz Mu coś miłego.”

Na co zwróciłaby Pani uwagę w jego sposobie bycia?

To był prawdziwy Ojciec, który potrafił kochać i potrafił wymagać. Kochał nas bardzo, był blisko, pomagał nam. Widziałam go, jak ścielił łóżka, jak sprzątał, układał, porządkował. Nie dzielił pracy na kategorie w zależności od jej rodzaju – wszystkie zajęcia uważał za jednakowo ważne i wszystkie należało wykonać dobrze, z miłości do Boga.

Najważniejsi byli dla niego jego synowie i jego córki. Latem 1962 roku spędził kilka tygodni w Londynie. Pojechałam tam również i ja, wraz z innymi osobami, aby prowadzić dom,

w którym Ojciec mieszkał. Kiedy Ojciec zdał sobie sprawę, że dzień przewidziany na jego powrót do Rzymu wypadł w dzień moich imienin – 4 września, postanowił zmienić bilety. Powiedział: „Jak możemy wyjechać, skoro moja córka ma imieniny?”. Codziennie miałyśmy chwilę rozmowy z nim i z Álvaro del Portillo, i Ojciec nie chciał, aby właśnie tego dnia go zabrakło.

Inne wspomnienia

Pierwsze miesiące w Rzymie były wyjątkowe. Kiedy przylecieliśmy do Rzymu, Ojciec z Álvaro przyjechali odebrać nas z lotniska. Przed naszym przybyciem do mieszkania przy Piazza della Città Leonina, gdzie miałyśmy mieszkać, wymył naczynia i posprzątał kuchnię, abyśmy zastały wszystko w najlepszym porządku. Tej nocy przygotowaliśmy na kolację omlet z ziemniakami i kurczaka, które przywiozłyśmy ze sobą ze świadomością, że w Rzymie wszystkiego brakowało i że głodowali. To był okres powojenny. Nie mieliśmy ani środków, ani pieniędzy. Jedzenie – dla duchownych, których Ojciec zapraszał na obiad, żeby mówić im o Dziele – przygotowujemy na grzejnikach, które służyły nam do ogrzewania mieszkania. Brakowało najbardziej podstawowych rzeczy, ale dzięki pomysłowości i pomocy św. Josemarii dobrze sobie radziłyśmy.

Kiedy sprzątałam, widziałam go wiele razy, jak modlił się na tarasie, patrząc w kierunku apartamentów papieskich – było dla mnie jasne, że modlił się za Papieża.

Inne wspomnienie jest związane z 27 kwietnia 1954 roku, kiedy Ojciec „umarł”, jak ja to mówię. Kiedy weszłam do jadalni, Álvaro zajmował się Ojcem, który znajdował się w szoku anafilaktycznym w wyniku cukrzycy, na którą od lat chorował, i usiłował wsadzić mu do buzi trochę cukru. Przynaglił mnie, abym poszukała lekarza. Ja w owym momencie zobaczyłam Ojca martwego. Po południu tego samego dnia, Ojciec i Álvaro, wracając do domu, weszli przez Villa Sacchetti 36, zamiast, jak mieli w zwyczaju, wejść od strony ulicy Bruno Buozzi. Odebrałam to jako gest pełen czułości, który miał na celu uspokojenie nas, że zupełnie powrócił do zdrowia. Później poprosił, żebyśmy przygotowały mu omlet. Następnego dnia, widząc mnie, powiedział: „Rozalio, już możesz podawać mi cukier, bo zostałem uzdrowiony z cukrzycy.”

Wielokrotnie mawiał mi: kiedy będziesz przechodzić przed witrażem *Madonny*, proś ją, żeby wysłuchała Ojca.

Rozalio, na co chciałaby Pani szczególnie zwrócić uwagę w tej rozmowie?

Na wiarę Ojca. Wszystkie sprawy powierzał Bogu na modlitwie, bo wiedział, że Dzieło pochodzi od Boga.

Kiedy pojawiały się trudności, mawiał: „Ty módl się”. W ciągu tego całego czasu widziałam, jak Dzieło się rozwinęło. Sprawiała to wiara Ojca: wszystko, co powiedział, doszło do skutku.

Był również człowiekiem wielkiej nadziei – poruszało nim pragnienie nieba i ujrzenia Pana – i ogromna miłość do Boga i do wszystkich ludzi.